

Kronika tygodniowa.

Kończąc poprzednią kronikę wzmianką, iż święty Marcin w roku bieżącym nie przyjechał do nas na tradycyjnym „siwym koniu“, ani przypuszczałem, iż już w dwa dni potem będziemy mieć pierwszy śnieg tegoroczny. Tym razem na owym „siwym koniu“ zjechał do nas święty Stanisław Kostka w dniu 13. listopada.

Śnieg ów nie był jednak przedwojenny, czyli w lepszym gatunku, był to jakiś surogat, który pod wpływem deszczu zamienił się w błoto, przyczyniając się do nadania miastu bardziej średniowiecznego, ale i prowincjonalnego wyglądu, z czym zresztą tak się już zżyliśmy, iż na to nawet nie zwracamy uwagi, nie winiąc też z tego powodu i Zakładu czyszczenia miasta, skazanego obecnie, jak tyle innych instytucji na obsługę przeważnie żeńską.

W sobotę, to jest w dniu, w którym z rozporządzenia drukarni odtynam kronikarski kałamarz, ze śniegu owego już ani śladu, choć nie jest bynajmniej wykluczonem, iż za nim go znowu zakorkuję, biały całun pokryje miasto, aby się spełniło, co było napisanem, że czwarta zima wojenna da się światu porządku we znaki.

Z okazji pierwszego opadów śniegowego zaczęto się poważnie zastanawiać, czy nie dałoby się z niego skorzystać w celach aprowizacyjnych. Na razie nie zaprowadzono jeszcze Centrali śniegowej, można więc śniegiem rozporządzać wedle upodobania, nie też dziwnego, że podniesiono w pewnych kołach myśl, czy nie należałoby zastąpić nim naprzykład soli, której ma podobno już w najbliższym czasie zabraknąć. Może tłuczona cegła zastępować paprykę, ciekawy jestem, dlaczego suszony śnieg nie mógłby być nazywanym zamiast soli. Smak słonego wprawdzie nie ma, ale przecież i cukier albo sałaryna nie zawsze odznaczają się słodczą, zwłaszcza wówczas, gdy ich brak. W tym celu, według opinii fachowców, powinno się zbierać śnieg i suszyć go w piecu, a następnie mieszać ze solą, w tym samym dajmy na to stosunku, jak liście bukowe z prawdziwym tytoniem. Taka kombinacja może mieć i tę dobrą stronę, iż wobec tego sól nie podróżuje, choć coś już o tem opowiadają, a czego dowodem pojawienie się pierwszych ogników solnych.

Au! się nawet nie spostrzegłem, iż z pogody zajęchem znowu w aprowizację. Być może, że znów ktoś się na mnie o to pogniewa, ale cóż mam robić, skoro te sprawy są dziś najbardziej aktualne, a sądzę, że nie tylko w Krakowie, ale z pewnością w całej Galicji, choć ona w oczach zagranicy do dnia dzisiejszego uchodzi za kraj mlekiem i miodem płynący. Ale z mlekiem także kłapa, a i z miodem nie lepiej, jak mi o tem opowiadał jeden ze statych gości znanego lokalu „pod krzyżykiem“ na Kazimierz, pamiętającego dawne lepsze czasy, a dziś zamkniętego z powodu braku towaru.

Także i krakowska Rada miejska jest widocznie tego samego zdania, co i ja, to jest, że sprawy aprowizacyjne są najważniejsze, skoro im poświęciła całe prawie czwartkowe posiedzenie. Ta tylko między mną, a naszą Radą różnica, że jej przedstawiciele zbyt czarno zapatrzyli się na sytuację, którą uważają za bez wyjścia i łamią ręce, zamiast się zabrać energicznie do pracy. Powiada Pismo święte: „Kończcie, a będzie wam otworzone“... należy więc nie narzekać, ale kołatać i to z coraz większą energią. Panowie z różnych Centrali słysząc narzekania na braki, ale bardzo delikatnie i ciche, by, broni Boże, nie obrazić jakiego dostojnego n.h.a., myślą sobie, że w tej Galicji nie musi być jeszcze tak źle, gdyby bowiem było narobiłaby pewnie więcej hałasu.

Omawiano więc na tem posiedzeniu w pierwszym rzędzie brak maki, a co za tem idzie i brak chleba, co zwłaszcza w ostatnich czasach dało się mieszkańcom porządnie we znaki, szczególnie zaś sferom uboższym, choć i bogatsze, może właśnie dlatego, iż chleba brak, zaczynają go otaczać coraz większymi względami i twierdzą, że choć wojenny, jest przecież bardzo smaczny. Że Kraków cierpi na brak maki, ponosi winę w pierwszym rzędzie Centrala zbożowa nie dostarczająca z zasady tyle, ile wyuosi normalne zapotrzebowanie z góry ustalone. Ale i Centrala ma wytłumaczenie i zaspokajanie się dobrymi chęciami, twierdząc, że powodem owego męczącego mankamentu jest okoliczność, iż galicyjscy agrariusze nie dowożą jej tyle zboża, ile powinni, wobec czego ona, mimo, jak się wyżej zaznaczyło, najlepszych chęci, jest bezsilna. To też Rada miejska postanowiła wystosować apel do rolników małych i wielkich z prośbą, by ulitowali się nad mizerią mieszczaństwa, mólcili jak najrychlej swe zapasy i nie dali nam zginać z głodu, bo my faktycznie skazani jesteśmy dziś na ich łaskę i niełaskę.

Agrariusze mają także gotową wymówkę i nią

też stale wojują, że brak im rąk do pracy, że zboże nie obrodziło, że ceny są zbyt niskie. Narzekania te przecież zdają się nie mieć faktycznej podstawy, ale należeć do ich natury. Za produkty swego gospodarstwa otrzymują obecnie chyba takie ceny, o jakich im się dawniej ani nie śniło! Mają i oni niejednego zgryza, to prawda, ale bo i któż stąpa tylko po samych różach. Kłopoty te przecież nie stoją w żadnym stosunku do ich narzekań, zwłaszcza w obecnej chwili, gdy okoliczności ułożyły się przecież bodaj jako tako.

Badając dokładniej przyczyny tych i tego rodzaju niedomagań, dojdź musimy do konkluzji, że w tym wypadku główną winę ponosi przedewszystkiem system biurokratyczny, jaki się we wszystkich centralach rozpanoszył, a następnie, iż oddano je warendę ludziom niefachowym, nie znającym kraju i stosunków. Chwalił się wobec mnie pewien obszaruk, iż w tym roku jest lepiej, niż było po inne lata, zboże do siewu otrzymał bowiem z Centrali już w początkach listopada, gdy natomiast rok temu musiał na nie czekać aż do grudnia. Ponieważ zaś mrozy i śniegi czekać nie chciały, wbrew swej woli musiał zasiewy ozime odłożyć na wiosnę.

Trochę lepiej niż z mąką przedstawia się w Krakowie sprawa z ziemniakami. Dziwnym trafem udało się miastu zakupić je i w większej ilości i w stosunkowo dobrym gatunku, jak to stwierdzają zgodni ci, którzy mają je już w swych piwnicach, a według statystycznego obliczenia z urzędu, ma być takich szczęśliwców już pięćdziesiąt procent z ogółu mieszkańców Krakowa. Powiedziałem wyżej „dziwnym trafem“ dlatego tylko, iż dawniej, ilekroć postarano się o zapasy ziemniaczane dla naszego miasta, tak się zawsze jakoś złożyło, iż powędrowały one gdzieś w świat.

Ale może też i dlatego tak nas owe Centrale traktują po macoszemu, ponieważ powiadają sobie, że w głodowaniu tak już jesteśmy wytrenowani, iż nam to nie robi bynajmniej żadnej różnicy, czy mamy co jeść, czy też skazani jesteśmy na obchodzenie się tylko smakiem.

Gorzej niż z ziemniakami jest z cukrem i sacharyną, jak to zresztą już o tem swego czasu wspominałem. Dziś zaznaczę tylko, że w restauracjach i kawiarniach nie wolno podawać odtąd gościom cukru, tylko sacharynę, a zapas jej ma Kraków otrzymać dopiero po dniu 25. listopada. Odzwyczajmy się w ten sposób od zbytniego osładzania sobie swej doli.

Wolno natomiast w lokalach publicznych słodzić bliźnim żywot i herbatę sokiem malinowym, który też wobec tego bardzo jest poszukiwany na giełdzie towarowej.

Niech jednak nikt nie myśli, że cukru u nas brak. Owszem, jest go dosyć, ale tylko po magazynach prywatnych, u tak zwanych hyen cukrowych. Można go tam dostać w każdej ilości, bez kartek, ale po cenie, dochodzącej podobno już do dwunastu koron za kilogram.

To samo powiedzieć można o sacharynie, której fabrykacją trudnią się rozmaici domorośli chemicy. Powiadają oni, że to bardzo popłatny przemysł i narzekają na nasze władze, wchodzące im na pięty i podcinające rozwijający się tak pięknie przemysł krajowy w samym jego zarodku.

Śczęśliwy, kto pamiętał o czarnej godzinie i nagromadził w domu zapasy. Ten może się śmiać z współbraci łaknących słodkości, a nie mogących ich otrzymać. Mam tu znowu na myśli handel zamienny, uprawiany obecnie przez Krakowian. Za pieniądze uic, za artykuły spożywcze wszystko — to obecnie dewiza każdego z nas.

— Omasz ty mi życie sperką lub smalcem — mówi się do swego bliźniego — a ja ci w zamian osłodzę twój żywot, mam bowiem w domu niezgorszy zapasik cukru...

Najczarniej przecież, wedle słów aprowizacyjnego referenta z czwartkowego posiedzenia Rady miasta, przedstawia się kwestya węglowa, grożąca miastu wprost katastrofą. Mówiąc o aprowizacji, używało się pewnego rodzaju stopniowania. Najpierw były na porządku dziennym sprawy aprowizacyjne, potem zwolna zmieniał się w aprowizacyjny skandal, wreszcie weszły w stadium katastrofalne.

I to właśnie można powiedzieć o sprawie zaopatrzenia miasta w węgle. Doszło do tego, że miasto znajduje się już w niedługim czasie w tem miłym położeniu, iż będzie musiało zamknąć elektrownię i gazownię, oraz wstrzymać ruch tramwajowy. Centrala węglowa istnieje wprawdzie i urzęduje, tak jak i jej siostrzyce, ale również jak one, jest też zwolenniczką wyodrębnienia Galicji, i z zasady o niej zapomina. Prywatni odbiorcy, którzy węgle wprawdzie zamówili, ale ich dotąd nie otrzymali, również bardzo czarno zapatrzyli się na sytuację, choć sfery miarodajne pocieszają ich, że wszystko się poprawi, gdyż rząd rozdział węgla wziął w swoje ręce, a karty węglowe są już w druku. Ale zima o tem nie chce wcale słyszeć

i mroź łązi po kościach, a każdy z rozrzewnieniem patrzy na nieopalony piec i dziś dopiero żałuje, że dawniej okazywał mu taką wżgardę odwracając się doń stale... drugą stroną medalu.

Jak to było przyjemnie się sobie przy dobrze ogrzanym piecu, zapalić sobie wonne cygaro i wziąć w rękę gazetę!... Dawno minęły te czasy i wrócić nie tak prętko, zwłaszcza, gdy jeszcze do szeregu innych umartwień kartkowych przybędą niebawem karty na pobór tytoniu. Obecnie, gdy ich jeszcze niema, tytoniu brak, co będzie dopiero z chwilą ich wejścia w życie. Doświadczenie uczy, że będzie jeszcze gorzej. Przydział na osobę dziesięć cygar tygodniowo lub dwadzieścia pięć papierosów jest stanowczo niewystarczający, wobec czego prywatni pośrednicy, gromadzący już dziś tytoniowe zapasy, znajdują bardzo wdzięczne pole do rozwinięcia swej obywatelskiej działalności.

Projekt rządowy krzywdzi też rodzaj żeński, odbierając mu prawo otrzymywania kartek tytoniowych. Pod tym względem zarząd monopolu czy też inna władza, która owe kartki w ruch puści, nie chce uznać równouprawnienia kobiet.

Jak więc z tego wszystkiego widać, aprowizacya zamiast się poprawiać, z dniem każdym staje się coraz gorszą, co nie może bynajmniej wpłynąć na dodanie otuchy i musi się przyczynić do tego, że każdy nie tylko stęknie, ale i westchnie gorąco:

— Oj się ta przekłeta wojna już raz skończyła!...

Gdy to nastanie w pierwszej linii poświęćmy wszelkim Centralom gorące wspomnienie i urządzimy im własnym kosztem pogrzeb pierwszej klasy.

Trzeba jednak przyznać, że nie tylko owe Centrale przyczyniają się do ntrudnienia ogółowi przetrwania tych ciężkich czasów, ale przykładają do tego rękę i jednostki z pośród tego właśnie ogółu.

Powiada stare przysłowie *homo homini lupus*, a chciwość jak nas uczono, to bardzo brzydka wada, należałoby przecież przypuszczać, że w obecnych czasach, gdy setki tysięcy tak cierpią, nie znajdą się chyba, a raczej znaleźć się nie powinny jednostki myślące tylko o sobie, a zapominające o reszcie.

Niestety, obecna wojna obudziła też bardzo wiele różnych paskalnych instyktów.

Jak wiadomo, magistrat, aby ułatwić ludności biednej aprowizację, rozpoczął wydawanie bonów, uprawniających do nabywania najniezbędniejszych środków do życia po zniżonej cenie. Coż się jednak stało?... Po bony rzucili się przedewszystkiem ci, którzy ich nie potrzebują, a i protekcyja odgrywała tu wielką rolę. Popyt na owe bonu był tak kolosalny, iż magistrat z powodu wyczerpania się przeznaczonych na ten cel funduszy, musiał zawiesić ich wydawanie.

Onegdaj spotykałem na ulicy jednego z mych znajomych, który radcą nawet tytularnym nie jest, ale posiada w tym kierunku wszelkie kwalifikacje, jest bowiem szczęśliwym posiadaczem kilku domów bardzo pięknie się rentujących, ma parcele na terenie gruntów pofortyfikacyjnych i spory kapitał (tak przynajmniej ludzie powiadają, a wiadomo, *vox populi, vox Dei...*) w gotowiznie i papierach, czytuje stale tylko „Nową Reformę“ i utrzymuje, że najwspaulaszym gmachem w Krakowie jest pałac Larysza...

Tytułują go też bliźni „panem radcą“, o co się bynajmniej nie gniewa.

Owego dnia był jednak bardzo źle usposobionym. W pierwszej chwili sądziłem, że to może następstwo wojny domowej, ma bowiem babę z piekła rodem, ale wnet wyszło szydło z worka...

Ujrzawszy mnie, zawołał:

— Jak to dobrze, że pana kochanego spotykam!... Panie, pan mni się zjeżdź, ale to porządku, bo to przecież lajdactwo!

— Co?... Gdzie?... Kogo?... — pytam ciekawie.

— Zaraz panu powiem, tylko odsapnę! Wyobraź sobie pan, idę do magistratu po bonu na jajka...

— To radca bierze bonu?

— Ma się rozumieć! A od czegoż jestem obywatelem i płacę podatki? Mam może jajka przepłacać na targu?... Mnie lekarz kazał się dobrze odżywiać!... Otóż idę do magistratu po owe bonu, a oni mi powiadają, że wydawanie wstrzymali!... I co pan na to?

— Ano nie! Tylko pozwolę sobie zwrócić radcy uwagę, że bonu są dla biedaków, nie zaś dla kapitalistów i kamieniczników!

— I mnie pan do nich zalicza?... To pan się grubo myli!... Kapitalik, jeśli był jaki uciulany, to się zjadł, a kamienice, zamiast dochodu, przynoszą tylko straty. Jak cię kocham!

— Ja tam jednak inaczej słyszałem!...

Poznałem po nim, że mu się to nie podoba, pożegnałem go też zaraz i bynajmniej się nie zdziwiłem, gdy na drugi dzień napisał do administracji *Nowości ilustrowanych* kartkę by go wykreślono z listy prenumeratorów, gdyż nie jest w stanie ponosić w tym czasie takich kolosalnych wydatków!...